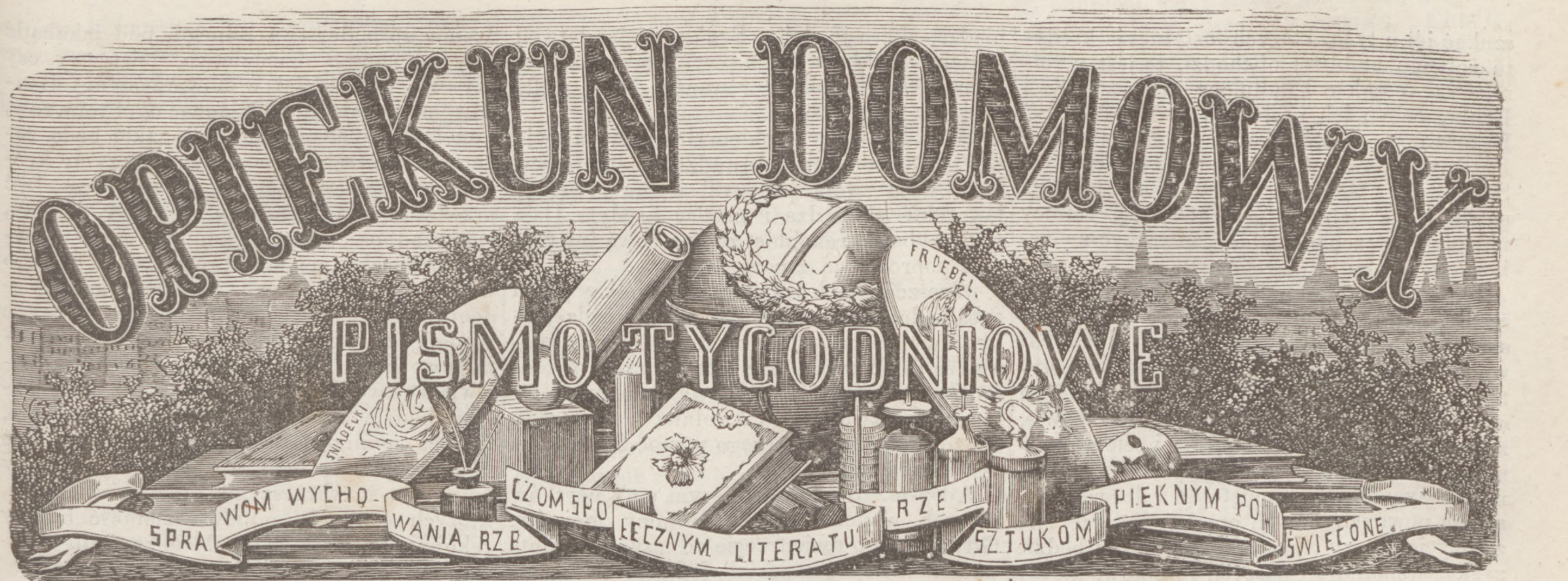
Nr. 14. Warszawa, dnia 21 Marca (2 Kwietnia) 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:
rocznie .... rs. 3 kop. 60	rocznie .... rs. 5
półrocznie .... rs. 1 „ 80	półrocznie ...... „ 2 kop. 50
kwartalnie...... „ 90	
miesięcznie..... „ 30	w Austryi rocznie 9 guldenów
	w Prusach „ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla p.p. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego** (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

BANK ZWIĄZKOWY ROLNICZY.

Zły stan naszego rolnictwa nie jest tajemnicą zwłaszcza dla tych, którzy mieli sposobność u źródła rzecz badać. Piszący o rolnictwie wielorakie naznaczają przyczyny złego — jedni chcą w tym widzieć nieumiejętną pracę, drudzy—brak środków któryi najlepsze chęci paraliżuje. Jedni i drudzy mają słuszność za sobą, — głównie jednak ci, którzy niedostateczność środków biorą za punkt wyjścia— i pomoc finansową uważają za najpierwszy warunek poprawienia losu naszych rolników a z nimi i produkcyi rolnéj. Naszym zdaniem rolnictwo cierpi przeważnie z dwu powodów: 1) z niedostatku kapitału nakładowego na prowadzenie gospodarstwa, — 2) z braku kredytu, wywołanego przeciążeniem hipotek.

Właściwie obadwa te punkta dadzą się sprowadzić do jednego, to jest do braku pieniędzy.

Temu niedostatkowi mogłaby jednak zaradzić Instytucyja kredytowa publiczna, różniąca się wszakże od dotychczasowych instytucyj tego rodzaju, tak co do swego celu, jako też co do środków.

Dotąd z pomiędzy instytucyj kredytowych związek z rolnictwém mających, znane są u nas: Towarzystwo Kredytowe Ziemskie,— nowo założone dla dwu tylko gubernii Towarzystwo wzajemnego kredytu, — wreszcie dwa Banki: Polski i Handlowy Warszawski.

Z tych—Towarzystwo Kredytowe ma znaczenie kredytu nieruchomego, gdyż bezpieczeństwo swoje opiera na przedmiocie nieruchomym to jest na własności ziemskiéj. Zadaniem jego jest ułatwienie spłaty długów hipotecznych—i na tym polu żadna mu inna instytucyja niedorówna. Wszelkie inne projekta oczyszczenia hipotek czyli wydobycia własności ziemskiéj z pod ciężaru długów i procentów, stają się wobec Towarzystwa Kredytowego niewykonalne, i ściśle biorąc, jeśli Towarzystwo przy ciągłych usiłowaniach zadaniu temu nie podoła, będzie to dowodem, że w tym kierunku nie finansowe, lecz inne przyczyny są na przeszkodzie.

Wreszcie nie o hipoteki tu chodzi. Długi i procenta hipoteczne nie są jeszcze tym najgorszym złém, które rozwojowi rolnictwa przeszkadza. Złe leży w tym, że produkcyja rolnicza coraz się umniejsza, — umniejszenie zaś produkcyi jest dowodem niedostatecznych nakładów, czyli braku kapitału nakładowego.

Gdyby kapitał nakładowy był obfitszy, produkcyja niewątpliwie by się wzmogła, a w takim razie dochody łatwiéjby pokryły wydatki gruntowe i procenta hipoteczne.

Otóż takiéj instytucyi kredytowéj, którąby zasilała kapitał nakładowy, naszemu rolnictwu brakuje. Albowiem Towarzystwo wzajemnego kredytu działa tylko na dwie gubernije, działa przytym słabo, a co najgorsza, wymaga rękojmi hipotecznych, co właśnie rozwinięciu działalności przeszkadza. Banki: Polski i Handlowy mają właściwie swe specyjalne zadania, i kredyt rolny jest tylko ich ubocznym działaniem. Nadto również wymagają bezpieczeństwa hipotecznego. Słowém, mamy tylko jedną podstawę kredytu rolnego, to jest hipotekę, a ta dzisiejszéj potrzebie nie wystarcza.

Myśl i nazwa Banku rolniczego nie od dziś zajmuje naszę publiczność. Trudności wszakże w jéj utworzeniu są trudne do pokonania. Przedewszystkim nastręcza się kwestyja finansowa, skąd wziąć funduszów. Finansiści, o ile z ich dotychczasowych działań wnosić można albo stan rolnictwa lekceważą, albo też co najprędzéj przypuścić można, nie mają dość zaufania do naszych rolników. Bądź co bądź świat finansowy pieniędzy na cele rolnictwa nie daje,—i chęci swoich pod tym względem niczym nie zdradza. Bank zatym na akcyjach oparty, utrzymać by się nie mógł, albowiem takowe nie miałyby pokupu. Zresztą giełdy i tak są przeciążone papierami.

Stąd wynika, że trzeba szukać gotówki, a

ŚLADY ŻYCIA.

XIV.

Tyle życia, ile.. w czynie.

„Na sposoby biorą się” Offenbachowska dewiza wieku. Stają pod tym sztandarem skoczki, kuglarze, przemytnicy, kokietki, cała szarańcza skrytych i otwartych wyzyskiwaczy, stają niestety i redakcyje niektórych poważnych organów prasy. Obliczyliśmy się dobrze wypowiadając to zdanie i adresując ostatnie jego słowa wprost do „Gazety Rolniczej”. Gdzie ścierają się przekonania, pojmujemy to, że wyradza się walka: wolno w niej użyć wszelkich uczciwych argumentów, wolno w imie swych zasad natrzeć na zasady przeciwnika, wykazać ich błędność lub nicość, ale nie wolno dla swego interesu rzucać potwarzy. „Gaz. Roln.” snać inaczej zapatruje się na polemiczną zbrojownię wciąga do niej wszystko co nadać się może i bierze się na wszystkie sposoby, nie przebierając bynajmniej w ich wartości.

Postawmy kwestyją jasno — „Gaz. Rolnicza” chce egzystować, chce żyć. Nie bierzemy jej tego za złe — jest to żądza wspólna zarówno najwyższym bohaterom jak i najniższym płazom. Dla czegoż jednak usiłuje napadać na tych co jej stoją na drodze? „Przegląd Tygodniowy” wystąpił przeciw „Gazecie” i jej współpracownikowi, „Gaz. Rolnicza powiada że „publicznie wyparł się kraju”. Czy redakcyja pisząc te słowa myślała o tym co robi.?? Zapewne. Było to branie się na jeden ze „sposobów.” Wystąpił „Tygognik Rolniczy” Redakcyja Gazety Rolniczej zna dobrze rzeczywisty osobisty skład Tygodnika, wie że odnośnie do kraju organ ten pełen jest najzacniejszych tendencyj, a odnośnie do niej jest tylko poprostu pismem współkonkurującym, ale tego właśnie dosyć, aby go szarpać ustawicznie, a nareszcie nazwać „kliką obcą krajowi ciałem i duchem” „Niwa” chwali człowieka źle widzianego w „Gazecie Roln:” to już dosyć aby zrobić jéj zarzut „zaszczepia materyjalizm, nihilizm i kosmopolityzm”.

I występuje redaktor G. R. przeciw owym wiatrakom i walczy z nimi jakoby w imieniu całego szlacheckiego obywatelstwa. Na Boga, skąd taka improwizowana reprezentacyja!? Kto z braci ziemian kierował pana M. na przewodniczącego marszałka?

Ale wszystkie te sposoby jeszcze nie wystarczają. Nie dość skarykaturować i zbeszcześcić cudze zasady trzeba jeszcze rzucić się na osobistości. Hola, panie Mieczyński ten oręż podobno dla pana najniebezpieczniejszy. Aleć i tak wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi — i od sąsiadów właśnie dowiedzić by się mogli panowie reprezentowani ziemianie kto im robi zaszczyt wyrażania jakoby zbiorowej opinii.

Musimy objaśnić czytelników, że pismo nasze nie stało nigdy w kolizyi z redakcyją „Gazety Rolniczej” nie byliśmy nigdy bez-

szukać jéj u tych, których instytucyja kredytu rolnego najbliżéj obchodzi, to jest u rolników. Wszakże handlujący utworzyli dwa Banki, celom ich posługujące: Handlowy i Eskontowy; — Rzemieślnicy założyli Kasę Przemysłowców, Konsumenci Towarzystwo Spożywcze „Merkury", — słowem każdy za siebie i dla siebie. Czemużby więc rolnicy nie mieli złączonemi siłami utworzyć związkowego Banku rolniczego?..

Idzie tylko o obmyślenie najłatwiejszego środka, któremu nader szczupłe zasoby naszych ziemian podołaćby mogły. Idzie również o gwarancyją, iż nowo założona instytucyja w samym zawiązku się nie potknie, że oparta będzie na pewnéj i stałéj podstawie, że rozwijana będzie umiejętnie i celowi swemu odpowie. Tą gwarancyją jest siła moralna założycieli, ich umiejętność i doświadczenie na pewnych danych oparte. Przy téj sile założycieli, przy téj gwarancyi, można będzie zyskać współudział naszych rolników, którzy co raz lepiéj poznają swoje położenie i o rychły ratunek pobożnie wzdychają.

Łącząc te wszystkie względy, myśl nasza krąży około następujących punktów zasadniczych:

1. Iżby trud i gwarancyją założenia instytucyi ruchomego kredytu rolnego przyjął na siebie Warszawski Bank Handlowy.

2. Iżby do współudziału powołał rolników, związawszy ich w jedno stowarzyszenie.

3. Iżby do udziału w założeniu i pomocach jakie Bank udzielać będzie, dopuścić wszystkich rolników, bez rozróżnienia stanowiska i nazwy.

4. Bezpieczeństwo kredytu przez Bank udzielonego oprzeć na respective przedmiotach, za wypożyczone z Banku pieniądze nabytych lub ulepszonych. Dla wzmocnienia zaś téj rękojmi, biorących pożyczki związać solidarną przed Bankiem odpowiedzialnością, tworząc z nich tyle oddzielnych stowarzyszeń, ile będzie przedmiotów, na które Bank kredytu użyczy. Każdy z powyższych punktów postaramy się wymotywować.

Ad 1-m. Do powodzenia nowéj instytucyi, zwłaszcza takiéj jak Bank rolniczy, potrzeba koniecznie ustalonéj firmy. Taką firmę posiada Bank Handlowy. Nadto Bank ten wszedł już w niejakie stosunki z obywatelami, udzielając im kredytu. Ziemianie zatym wiedzą o Banku Handlowym i wiedzą że ma pieniądze, skoro je daje. Bankowi więc łatwiéj zaufają i wkłady swoje powierzą, zwłaszcza w nadziei tak miłego rewanżu, jakim będą przyszłe pożyczki.

Daléj, kierujący Bankiem Handlowym znają się praktycznie na prowadzeniu interesów, instytucyją swoją postawili dobrze, wiedzą jak robić pieniądze i ustalać kredyt. Dają więc wyborną rękojmię, że i tę nową instytucyją poprowadzą z powodzeniem.

Wreszcie Bank rolniczy ma wielkie przed sobą zadanie. Niedosyć dać mu pieniądze, iżby je wypożyczał, lecz trzeba iżby sam pieniądze robić umiał, raz dla pokrycia niedoborów, powtóre dla rolnictwa, przemysłu fabrycznego związanego z rolnictwem, handlu zbożowego i t. p. do czego pomoc finansistów jest niezbędną.

Ad 2-m. W kraju tutejszym ogół użytków rolnych wynosić ma 22 milijony morgów. Gdyby z tego dwie trzecie odliczyć na grunta włościańskie, to pozostała jedna trzecia część wyniesie przeszło 240 tysięcy włók. Rachując na pojedynczą własność przeciętnie włók 30, wypadnie około 8 tysięcy właścicieli, z których część czwarta czyli dwa tysiące będzie w możności zrobić wkład po rsr. 100 czyli mniéj więcéj po 3 ruble z włóki na założenie Banku. Powołanych więc dwa tysiące rolników mogą złożyć dwakroć sto tysięcy rubli kapitału w formie pożyczki bezzwrotnéj i bezprocentowéj, wszakże z nadzieją pozyskania dywidendy z zysków Banku, i pierwszeństwa w korzyściach, jakie Bank rolnikom ma przynieść.

Do powyższéj summy Bank Handlowy winien dopożyczyć ze swoich zasobów drugie tyle, w formie pożyczki zwrotnéj lub sposobem amortyzacyi lub jednorazowie po rozwiązaniu Banku, oraz procentującéj po 5%.

Summą 400,000 rsr. można rozpocząć operacyje, dzieląc ją w pewnéj części na pożyczki dla niezamożnych rolników, a w pozostałéj, na operacyje handlowo-przemysłowe, zwłaszcza takie, któreby i rolnictwu i funduszowi Banku korzyść przyniosły.

Ad 3 i 4-m. Do obliczenia w poprzednim punkcie przyjęto liczbę własności ziemskich, — wszakże zrobiono to tylko dla rachunku. W duchu bowiem naszego projektu własność nie gra żadnéj roli. Czyniąc zależnym postęp rolnictwa nie od posiadania własności ziemi, lecz od umiejętności i dobréj chęci prowadzenia gospodarstwa rolnego, pod jakąbądź ono jest nazwą: dziedzictwa, dzierżawy czy zastawy, pod udział w stowarzyszeniu Bankowym pragniemy podciągnąć ogół rolników, i ogółowi zapewnić korzyści, jakie będą zadaniem przyszłéj instytucyi. Życzymy kredytu ruchomego, którego podstawą ma być przedewszystkim osobisty charakter rolnika, jego rządność, wreszcie korzyści, jakie udzielona pożyczka ma mu sprowadzić. Dla tego w projekcie naszym wprowadzamy korespondentów Bankowych, to jest osoby wybrane z pomiędzy stowarzyszonych założycieli, zainteresowane tym samym w bezpieczeństwie i powodzeniu instytucyi. Ich obowiązkiem będzie czuwać nad biorącemi pożyczki, tudzież opinijować czy pożyczka może być udzieloną. Dla tego również projektujemy oddzielne stowarzyszenie dłużników Banku, których solidarna odpowiedzialność byłaby rękojmią czujności w wypłacie kapitału i procentów.

Do projektu wprowadzamy 3 peryjody egzystencyi Banku. Celem takiego podziału jest stopniowy rozwój instytucyi i zabezpieczenie jéj od zbyt naprężonych działań w chwili do tego jeszcze nie odpowiedniéj. Zarządowi pozostawić należy bliższe określenie zakresu przedsięwzięć Banku, rozgatunkowanie ich i ocenę, które jako najpilniejsze i najmniéj rezykowne, dadzą się wykonać w okresie 1-m a które przeciwnie należy pozostawić do wykonania w okresach następnych, kiedy spotęgowane siły instytucyi na to pozwolą. Zdaje się że taka klasyfikacyja i ustopniowany rozwój przedsięwzięć Banku, bardzo się przyczyni, do powolnego lecz ciągłego wzrostu saméj instytucyi i zarazem rolnictwa, na które ma oddziałać. W 1 np. okresie, wypadałoby strzedz Bank a z nim i rolnictwo od wszelkich nowacyi, wspierać tylko te rodzaje produkcyi, które się już praktykowały, pozostawiając dalszy rozwój późniejszemu czasowi.

Wreszcie nadmieniamy, że biorąc w uwagę szczupłość zasobów naszych ziemian i tę okoliczność, że przy najlepszych chęciach, nie można dać tego, czego nie ma, uczynilibyśmy wzmiankę w projekcie, że Towarzystwo Kredytowe Ziemskie przy wypłacie nowych pożyczek, mogłoby się podjąć poboru wkładów na rzecz Banku od tych stowarzyszonych, którzy potrzebny na to przekaz udzielą. Byłby to najpraktyczniejszy środek, bo gdy się

---

pośrednio zaczepieni —i nie kruszyliśmy polemicznych kopij—zabranie więc głosu w powyższéj sprawie nie jest bynajmniéj wypływem żadnego rozdrażnienia: nie mamy także żadnych postronnych pobudek do stawania w obronie czasopism z któremi niejednokrotnie nawet różnimy się w szczegółowych poglądach. Tak więc jedynie tylko z naszego dziennikarskiego i obywatelskiego obowiązku uważamy za konieczne zaprotestować uroczyście przeciw krańcowemu nadużywaniu dobréj wiary publicznéj.

* *
*

W odcinku *Gazety Polskiéj* zjawiły się pogadanki o rzeczach bieżących i miejscowych p. n. *Bez tytułu*. Życzymy powodzenia w reformach, tym serdeczniéj, że autor pogadanek napomknął o potrzebie *zmniejszenia działu polityki*, a *rozszerzenia działu wiadomości miejscowych*, w pismach politycznych. Nie wątpimy, że *Gaz. Pol.*, raz uznawszy konieczność téj zmiany, przeprowadzi ją, a tym sposobem sharmonizuje treść swoję lepiéj niż dotąd z tytułem. Sił do tego zapewne jéj nie zabraknie.

* *
*

Wkrótce staraniem Towarzystwa Nauk ścisłych w Paryżu, ma wyjść: Wykład hidrauliki, przez F. Kucharzewskiego i W. Klugiera.

* *
*

W tygodniku *Przyroda* i *Przemysł* podniesiono myśl wzmocnienia funduszów, mających się zebrać na założenie *prywatnego realnego giminazyjum*, za pomocą szeregu odczytów. Myśl tę popieramy i sądzimy, że odczyty popularne niejednokrotnie będą mogły oddawać podobne usługi, epoka bowiem koncertów, deklamacyi i t. d. na cele dobroczynne, zdaje się że już minęła, ustępując miejsca epoce prelekcyi.

* *
*

„Każesz mi śpiewać? (woła p. S. W. Do*** w 404 N-rze Kłosów) dobrze! *Nie strwoniłem* (?) ducha.

„I usta me wydadzą *harmonijne dźwięki*.

„Lecz powiedz, *jaka treść ma być mojej piosenki?(!!)*...

Oto ustęp formułujący prawie wszystkich młodych dzisiejszych poetów: umiem składać wiersze, to prawda, ale co z tym fantem zrobić"??..

Zdawałoby się, że wieszcz który stawia podobne pytanie, winienby dla własnego i ogólnego dobra zdruzgotać pióro, ale gdzietam! Wieszcz brnie daléj, wyśpiewuje jeszcze 41 wierszy i kończy tak:

„Wam śpiewać, ludzie? Śpiewać?! was *biczować* jeszcze!

Chciałbym przemówić do was... usta chcą przeklinać!

„I uśmiechnąć się do was, *o lica złowieszcze!..* (a to co znowu?)

„Jak z dziećmi *elementarz o duchu zaczynać*... (trochę niejasne).

„I straszyć was jak *niańka, męczarnią piekielną*. (??)

„Lecz, kiedy spojrzę smutny w waszą *twarz bezczelną* (!!)

„Cofam się od was, niby tygrys od płomienia, (szczytnie!)

„*I wstrętna brudem treść mi waszego żywota!..* (fiu! fiu!)

„W waszym duchu *brzmią* dźwięki — — — ale dźwięki złota...

„A w moim jeno pieśni... A więc, do widzenia! (szczęśliwej podróży!)

A teraz zapytujemy w imię Apolina naprzód p. S. W. co chciał wypowiedzieć w swoich rymach, a powtóre *Kłosy*, po co drukują utwory, przypominające ćwiczenia pensyjonarzy z *Domu Zdrowia*?

* *
*

Kuryjer Codzienny słusznie zwraca uwagę reżyseryi teatrów, aby w Niedzielę i święta

odbiera kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy, wtenczas łatwiéj zrobić ofiarę ze 100 rubli HRABINA ELODYJA. ...ciéj potrze-

Z. M.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

Władysław często znajdował się między nimi—ale nie mówił nic bezpośrednio z matką swojéj żony— rzuciwszy kilka ogólników pełnych wykwintnéj elegancyi, lekkiego sarkamzu— wracał do innéj grupy, złożonéj z pań młodszych i panien— które mało były przez swych tancerzy zabawiane, gdyż ten przywiléj, wyłącznie zdawał się być obowiązującym dla mężatek.—Jednak mimo zajęcia, mąż hrabiny Elodyi, uważał jéj każde poruszenie— i gdy ujrzał ją mówiącą z Emanuelem—czarne jego brwi ściągnęły się szybkim, nerwowym ruchem.—Los chciał—że wejrzenie pani Ruszczycowéj spostrzegło ten objaw tajemnego niezadowolenia— i uśmiechając się, rzekła:

— Ah! drogi hrabio! masz coś na sercu?

— Ja?! — bynajmniéj! — tłumaczył się hrabia.

— Vous êtes jaloux! — powiedziała cicho a! enfin ty poznasz to nieubłagane prawo — trzeba kochać— i być zazdrosnym!—Elodyja pomści mnie!.. nas!..

— Zastanów się pani, par bonté—że mogą nas usłyszyć! odparł zaciskając białe zęby.

— A! tak! Voyez un peu! jak to źle miéć młodziuchną żonę! — dodała głośno! — Le beau comte nie pokoi się, że widzi pośród tańczących, w objęciu coraz innym, swą żonkę milutką! Sam zrezygmował od tańca i uciech światowych, ale...

— Permettez Madame! Skreślając przypuszczalny stan méj duszy, musisz pani chyba szukać podobieństwa w swojéj—inaczéj—brakłoby dokładnéj charakterystyki! —odparł wyzywająco hrabia Władysław i czarne, ogniste źrenice utopił śmiało jak dwa sztylety, w twarzy byłéj piękności.

Wbrew zwyczajowi pani Ruszczyc umilkła—lekki rumieniec zafarbował jéj lica, wysiliła się na inny obojętny frazes. Tańcząca w téj chwili hrabianka Eleonora, dostarczyła jéj przedmiotu do żartów—co jednak nie przeszkodziło potym jéj powiedzieć:

— Vous dansez comme un ange!

Gucio, który dopieroco, omal nie został pod jéj ciężarem zgruchotanym—lub podrzuconym ku sufitowi—zżymnął się — i wyszedł do budoaru, aby się ochłodzić i uspokoić.

Zastał tam Emanuela, siedzącego na sofie z miną zadumaną i mroczną.

— Mogę panu służyć?!—zaczął Gucio podając mu kosztowną cygarnicę—i siadając obok niego.

— Dziękuję! Nie palę!—odparł Emanuel.

— Byćże to może? nie lubisz pan tytuniu?

— Owszem—ale pomyśl pan, wiele kosztują rocznie cygara?

— Mnie?.. — prawdopodobnie do trzystu rubli.

— Jest to summa mojego całorocznego dochodu, zdobytego pracą każdodzienną! A więc choćby mię to kosztowało tylko trzydzieści rubli—jeszcze byłoby zbytkiem, na jaki sobie nie mogę pozwolić!

— Pan to mówisz tak spokojnie i chłodno!

— Nawet z pewną dumą — jak człowiek umiejący walczyć z losem i własnemi namiętnościami! — rzekł podnosząc głowę z tryumfem.

— C'est du grec pour moi! — powiedział Gucio po pańsku.

— Bez wątpienia!

— Czy pan chcesz sobie żartować ze mnie—szydzić?..

— Co?!—spytał zdziwiony Emanuel.

— Pańska odpowiedź daje dużo do myślenia!

— Jest ona bardzo naturalną i prostą!

— Nie cierpię tego lodowatego spokoju, którym zazwyczaj jak parawanem osłania się coś złego!—zawołał wzburzony winem i gorączką wewnętrzną Gucio.

Emanuel zmierzył go oczyma, powstał i rzekł dobitnie:

— Powiedz mi pan szczerze—czy szukasz ze mną awantury?

— Co pan myślisz o pojedynkach?

— Że to jest szaleństwo dwu ludzi niemających zdrowego rozsądku—wynikłe prawie zawsze z odurzenia winem i uniesienia, hańbiącego siłę moralną! Teraz Gucio z kolei podniósł się i stanął naprzeciw niego—zaczerwieniony, drżący z gniewu. Chwilę trwało milczenie. Emanuel z założonemi na piersiach rękoma, blady, spokojny—wpatrzył się z całą potęgą wyższości w tego dziecięcia salonów, w którym rozdrażnienie nerwów wywoływało chęci walki i kłótni niesłusznéj—i który prawie bezprzytomny zawołał:

— Takie zdanie dowodzi, żeś pan...

— Ani słowa więcéj!—rzekł z mocą Emanuel—w téj chwili mówić nam dłużéj niepodobna — w szale i zapomnieniu można wyrzec za wiele—a następstwa zwykle bywają smutne! Jutro lub pojutrze—poproszę pana o wyjaśnienie powodu jego słów—a jeśli przyczyna będzie słuszną, gotów jestem nawet odstąpić od przyjętéj zasady i zrobić dla pana wyjątek!—dodał unosząc się z kolei. Poczym skłonił się lekko i wyszedł do salonu.

— Co to znaczy?—co się stało?—zawołał ukazując się nagle hrabia Władysław—który stojąc za portjerą wysłuchał całą rozmowę.

— A! nic!—to nic!..

— Wyzwałeś go na pojedynek!.. za co?—obraził cię?

— Nie!

— A więc ubliżył komuś?... kobiecie?... Elodyi?..

— Daję ci słowo honoru, że nie!

— A! to już nie rozumiem! Słusznie dał ci poznać żeś pijany!—zawołał hrabia.

— Mówił prawdę! — jestem odurzony — głowa mię boli!..

— Guciu! proszę cię! powiedz mi wszystko! — rzekł Władysław tonem jemu tylko właściwym.

— A więc!.. posłuchaj! Ale nie śmiej się—bo mogę zrobić głupstwo!

— Au fait! au fait! mon cher!

— Wiśniowiecki jest narzeczonym kobiety — którą ja — kocham szalenie! Czarowna Beata.

— Znowu! zawołał hrabia —i drgnął jakby go kto rozpalonym dotknął żelazem.

— Jakto? znowu?

— Nic! nic! — to do siebie!—mów daléj—jak to było?

Gucio wkrótce wszystko opowiedział — hrabia słuchał niespokojnie zrywając się z krzesła—na wstęp o pani Ruszczyc podskoczył—i zaczął szybkiemi krokami przebiegać pokój.

---

zamiast takich fars jak: *Piękna Helena*, *Flick i Flock*, *Tancerze Europejscy w Chinach* i t. d., przedstawiano sztuki poważniejsze i nauczające, w te dnie bowiem do Teatrów, licznie zbierają się widzowie klasy średniéj, na których teatr, większy bez porównania niż na innych wpływ wywiera.

* * *

Widzieliśmy „Kopernika" Matejki. Obraz mistrza silne czyni wrażenie. Sprawozdawcze nasze zadanie o tyle jest ułatwione, że niedopatrzyliśmy żadnych szczegółów ujemnych, nie szukaliśmy ich nawet, bo całość przyznajemy to, zbyt nam zaimponowała potęgą genijuszu. Innego doznał wrażenia sprawozdawca Kur. Warsz. piszący „W cieniu" który jak powiada upatrzył „plamy na słońcu." Nie każdy kto patrzy—widzi.

* * *

Czytelnikom naszym winni jesteśmy parę słów wyjaśnienia. W 11 Nrze Opiekuna podaliśmy wiadomość, że w szpaltach pisma rozpoczniemy niebawem druk odczytu wygłoszonego w sali Resursy obywatelskiej przez członka komitetu Redakcyjnego Opiekuna Domowego, pana Julijana Ochorowicza „*O kształceniu własnego charakteru*" Otoż zamiar ten zmieniliśmy w sposób korzystniejszy daleko dla czytelników, ze względu bowiem na ważność przedmiotu, odczyt wzmiankowany, uzupełniony jeszcze przez autora, wydamy w oddzielnéj książce i książkę tę jako nadzwyczajny bezpłatny dodatek ofiarujemy wszystkim naszym pp. prenumeratorom. Dodatek ten doręczymy zapewne jeszcze w miesiącu Kwietniu, a to niezależnie od zwyczajnego dodatku powieściowego.

* * *

W dniu 15 (27) Marca odbyło się drugie zwyczajne ogólne zebranie akcyjonaryjuszów Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od ognia. Po przemówieniu Prezesa Tow. oraz po dopełnieniu wyboru delegowanych do sprawdzania czynności, ksiąg i dokumentów, jak również dopełnieniu wyboru dwu dyrektorów, przyjęto wniosek zaprowadzenia nowego rodzaju ubezpieczeń. Tym rodzajem nowych ubezpieczeń—są ubezpieczenia kapitałów pośmiertnych i rent dożywotnich. Nowość ta powinna być pożądaną dla publiczności naszej, stanowi bowiem dla większej jej części pewien rodzaj dobra, zabezpieczającego spokój niejednego ojca i członka rodziny o los i dobrobyt swych dzieci—za niewielką stosunkowo opłatą rocznej składki. Iluż to mężów, których codzienna praca stanowi jedyne źródło utrzymania żony i dzieci, trawi bezsenne noce w niepokoju o byt ich przyszły..... Spokojność więc ta, powrócona być może przez zabezpieczenia życiowe. Bliżéj w tym miejscu nierozwijamy tak ważnej kwestyi społecznej, ponieważ mamy zamiar obszerniej w przyszłości rozebrać takową. Zrobimy tu jedynie tylko uwagę: ażeby Towarzystwo podejmując ten ważny dział ubezpieczeń skierowało swoję usilność w celu zaznajomienia publiczności naszej z ważnością tego zabezpieczenia, zaprowadziło sprawiedliwe i przystępne obliczenie premii składkowej i obudziło wiarę ogólną przez sumienne i szybkie prowadzenie wypłat — należnych kapitałów i rent.

* * *

Kraków dnia 10 Marca 1873 r.

Przy ogólnéj umysłowéj stagnacyi, jaka panuje w naszym mieście, nie zawsze zdarza się materyjał do korespondencyi. Z ochotą więc notujemy kilka faktów, przytoczonych poniżéj. Oto nareszcie młodzież Krakowskiej wszechnicy raz się zdobyła na znak życia. W dniu czwartym Marca, deputacyja od całego uniwersytetu, udała się do solenizanta profesora Skobla z powinszowaniem imienin, i złożyła mu w podarunku bogate album

— Żmija!—podła nierządnica! — mruknął zaciskając pięści — Gucio był rozczulony. Jesteś szlachetny Władysławie!—rzekł ujmując jego rękę. Lecz gdybyś widział tę postać tak czystą, tak dziewiczą i wytwornie piękną—pomyślałbyś to co ja—że tam jest prawda, światło i wdzięk—a u nas szych i blageryja obrzydliwa!

— Z tym wszystkim — po co zaczepiałeś Emanuela?—rzekł zasępiony hrabia.

— Ot! wspomnienie Beaty przywiodło mię do wściekłości. Sam nie wiem com powiedział—bo złość kipiała w méj piersi. Ale żałuję teraz szczerze—i przeproszę go, składając na wino. Jużciż pojedynek do niczego nie doprowadzi! — mówił coraz rozsądniéj Gucio.

— Naturalnie! Swoją drogą—nie trać nadziei — bo — jednak Emanuel jest człowiek z wielkim rozumem—i prawdę mówiąc zwalczył cię przed chwilą z kretesem.

— Gdybym zyskał miłość Beaty—kochałbym go jak brata!

— Miłość Beaty!.. I cobyś z niéj zrobił?—brudny łachman co skalałby i zastąpił jéj białą szatę anioła!—wyrzekł hrabia ponuro—szarpiąc faworyty.

— Nie! nie! - ja!—jabym ją ubóstwiał!

— I ożeniłbyś się z Eleonorą!—przerwał ironicznie hrabia.

— Niech ją licho porwie! cette. .

— Daj pokój! — dobra partyja! — krocie i koligacyja!

— I panna jak grenadyjer!..

— To się opłaci!

— Ah! Beata! najpiękniejsza Beata!

— Tylko—bądź łaskaw nie mówić już nic więcéj o tym! — przerwał popędliwie hrabia. Wracajmy!

Stara księżna mówiła do Emanuela:

— Zmęczyłeś się! — znużyłeś pustą gawędą—na twojéj twarzy jest ślad niechęci.

— Wistocie! Trudno tu nie czuć się zmęczonym—tak różnorodnemi wrażeniami.

— Ty nie wiele ich odbierasz.

— Ale za to jestem jak jeden trzeźwy, pośród pijanych!

— A! dobitnie rzecz określiłeś!

(*d. c. n.*)

MICKIEWICZ,

przyjaciele jego i znajomi.

(Z korespondencyi wieszcza wydanej przez jego dzieci, r. 1870—1872.—2 tomy).

(*Dalszy ciąg.*)

II.

Jan Czeczot.—Tomasz Zan.—Józef Kowalewski.—Feliks Kołakowski. — Hilary Łukaszewski. — Józef Łoziński Jerzy Budrewicz.

Listu od Czeczota w *korespondencyjach* nie ma ani jednego. Że jednak osobistość ta, wżyciu i we wspomieniach Adama nieodłączna od postaci Tomasza Zana, potrzebną jest nam dla uprzytomnienia sytuacyi, w jakiej zostawali Wileńscy przyjaciele Mickiewicza w czasie jego podróży, przytoczymy niektóre ustępy długiego listu wieszcza do Czeczota, datowanego z Moskwy 5 Stycznia 1827.

Jan Czeczot przedstawia się w tym liście jako człowiek nadzwyczajnie surowy, ostry, anachoreta prawie. Zatopiony w nieustannéj czci ideału, któremu życie ślubował, każdą najlżejszą bodajby i najniewinniejszą uciechę ziemską, miał za występek, za kryminał prawie, uwłaczający majestatowi Bóstwa. Ztąd często w Orenburgu sprzeczki i kłótnie z Tomaszem Zanem, psuły temu ostatniemu humor i rozrywki, których szukał na łonie kilku przyjaciół, śród dziewiczych wdzięków przyrodzenia lub w epikurejskich kontemplacyjach osobistego szczęścia. Wybrany na sędziego Mickiewicz, oddał słuszność Zanowi, w słowach za absolutnych może.

„Pochwalam Cię Janie — pisze—że masz więcéj od drugich stałości w znoszeniu biedy, Że zajadasz obiady Kurcyjusza, że sam sobie wystarczczasz—dobrze jest. Ale co do Tomasza, powiem: Jeśli go na objad proszą, albo jeśli bez nieprzyzwoitości może iść nieproszony, niech idzie i smaczno zajada. Bo dobry objad siły pokrzepia, a pieniądze, lepiej drugiemu, swoje objady jedzącemu oddać, albo za nie tytoniu czy książkę kupić. Jeśli w czasie objadu może z dobrym przyjacielem pogadać, tym lepiej: bo się czas przyjemnie zabija, a on powinien mieć za najpierwszy, za jedyny cel — zdrowie zachować. Więcéj nie ma co myśleć i robić. Jeżeli gra w bostona, najlepiej czyni. Sam doświadczyłem że grając w bostona, kalkulacyja matematyczna zajmuje serce i umysł ochładza, a długo grając, w nocy nawet śnią się trefle i piki i karo, co lepsza, niż sny po których łzy z oczu płyną”.

Słowa te, mówimy, są nieco absolutne. W warunkach normalnych życia, teoryja ocierania łez cudzemi serwetami i zabijania czasu snami treflowemi, nie sądzimy żeby była moralną i godności ludzkiej nie ubliżającą. Praktyki i rozrywki podobne panowały u nas wszechwładnie w 4 5 i 6 dziesiątkach lat, XIX wieku. Przy zielonym stoliku i butelce trawiono dnie i noce „odpędzając od siebie niepotrzebne troski, zapijając sprawę” —a z nią rozum, zdrowie i siły żywotne. Pokolenie obecne, jest akurat owocem owoczesnego trybu życia i użycia. Nie ma się też czemu dziwić, że młodzież dzisiejsza prawie bez wyjątku choruje na anewryzmy, bicie serca, zdenerwowanie i cierpienia piersiowe. Nosimy, my wszyscy, na sobie samych ślady tego *matematycznego* chłodzenia umysłu, którego ojcowie nasi szukali w ponczyku, przy poniterce, lub w trybunalskich z sąsiadami zatargach.

Uwagi Mickiewicza z innej jeszcze strony są zanadto absolutne. Rzucają one fałszywe światło na życie Tomasza Zana. Czeczot nie miał ani prawa ani słuszności wyrzucać Tomaszowi, że sobie kiedy niekiedy pozwolił weselszej biesiady w koleżeńskim gronie. Ale Mickiewicz, podnosząc wyjątek do wysokości pewnego rodzaju reguły, tym samym dać mógł komuś do myślenia, że Zanowi życie w nieustannych płynęło uciechach. Tymczasem zaś z listów jego do przyjaciół w Moskwie (jest ich trzy w *korespondencyi*) wcale co innego się okazuje: Zan nie mniejszym był anachoretą od Czeczota. Samo zresztą otoczenie, wśród którego żył Tomasz, lubo co do naturalnych piękności w niczym nieustępujące widokom, jakie w lat kilka póżniej wieszcz nasz w towarzystwie Odyńca podziwiał przy *Via Mala*, Splugen, *Campo Dolcino* i Chiavannie — to jednakże tym się różniło od przyalpejskiego, czym się różni byt pierwotny ludzkości od jej cywilizacyjnych wykształtów. Niepodobna się wstrzymać od powtórzenia opisów ręką Zana skreślonych.

„Przebywam we wsi Ciołkowskiego, za Orenburgiem pisze w lipcu 1827. Leży ona u stopy gór ogromnych; wdzieram się na kamienne ich grzbiety; olbrzymie głowy i tułowy zawaliły przestrzeń aż do bram

---

z kilkuset podpisami. Uczyniła to nie dla profesora wszechnicy, nie dla byłego rektora (którą to godność piastował solenizant) ale dla *przyjaciela* dla *opiekuna* młodzieży, bo jest nim zacny profesor Skobel.

Wszystkie wydziały wzięły udział w ofierze.

Na drugi dzień aż zapłakał zacny starzec, skoro w audytoryjum, ujrzał katedrę z której lat tyle przemawiał, przybraną w kwiaty i wieńce. Dłoń uczniów zgotowała niespodziankę ukochanemu nauczycielowi. Profesor Skobel jest zaprawdę, chodzącą cnotą i przykładem męża obywatela. Czemuż Kraków tak mało liczy jemu podobnych. Inna byłaby młodzież, inne plony na niwie społecznéj dotąd jałowéj i pustéj.

Do szeregu niezwykłych objawów zaliczyć można tutejsze Muzeum przemysłowo-techniczne. Niezmordowana czynność jego dyrektora, Dra Adryjana Baranieckiego, bezinteresowne poświęcanie własnych funduszów na korzyść społecznego dobra, odmówienie sobie wszelkich przyjemności i wygód, aby tylko tak pożyteczna instytucyja istniała, cechują tego człowieka prawdziwie wyjątkowego w czasach dzisiejszych.

Otóż odczyty o literaturze rossyjskiej, jakie w tym Muzeum prowadzi znany w piśmiennictwie naszym Jan ze Śliwina (A. H. Kirkor), drukują się i mają opuścić prasę w miesiącu Maju. Zwracamy uwagę szanownych czytelników na ową pracę, mieliśmy bowiem sposobność słyszeć parę z tych odczytów i przeglądać rękopism.

Autor na podstawie długich studyjów i dotąd nieznanych ogółowi źródłach, opiera swoje poglądy. Jest to praca rzucająca nowe światło, na rozwój rossyjskiego piśmiennictwa, powiem więcéj, śmiały i głęboki pogląd na pochód rossyjskiej cywilizacyi.

Odczyty te, cieszą się powodzeniem. Bywa na nich dosyć publiczności (*70—80 osób*) gdy na inne zaledwie kilkanaście słuchaczek się zbiera. Świadczy to najlepiej że są coś warte. Krakowianie tak chętni wiedzy nie są, na nieszpory idą ale *światławstręt* cierpią silnie.

W miejsce uznania i poparcia dobrych chęci, sypią w oczy piasek, bryzgają błotem. Zwykła to natura ludzi ślepych a upartych i ciemnych...

Mimo to jednak „Akademija nauk i umiejętności” zaczyna działać, odbywa dwie sesyje tygodniowo, posiedzeń u nas nie brakuje, prezesów mamy jak nabił. Na miejsce zmarłego poety Wincentego Pola, zatwierdzono w Wiedniu profesora wszechnicy, starożytnika Józefa Łepkowskiego. Ciekawiśmy też rezultatów nowéj instytucyi. Oby tylko nie były skorupy i plewy!

Akademija według naszego zdania, powinnaby zebrać członków korespondentów nietylko z Galicyi, ale także z innych sławiańskich krajów, powinnaby ocenić ważność swojego stanowiska i działać z całą energiją i zapałem.

Życząc tego Akademii, pocieszamy się nadzieją, że będzie inaczéj jak dotąd... A czas by już zaniechać gadaniny i rozpocząć pracę....

* * *

Siedlce w Marcu.

I znów biorę pióro do ręki, ale z jakże odmiennym usposobieniem? Jakby na przekór temu co napisałem w pierwszej korespondencyi o Siedlcach, zaszły tu wypadki dowodzące do oczywistości—jak mała garstka jest u nas prawdziwych *obywateli*, nie z nazwiska ale z ducha, gdy tymczasem resztująca większość popuszcza coraz bardziej cugle swojemu konserwatyzmowi i... zaślepieniu!

Jakże krzyczącą plamą pozostanie w kronice Siedlec dzień 19 Lutego.

Żeby choć jakiekolwiek usiłowanie dało się widzieć ze strony mieszkańców dla ucz-

wschodzącego słońca, do ciemnych pól nocy. Musiał tędy przechodzić gienijusz śmierci, i pomorzył bałwany szalejącego żywiołu. Widok sterczący, nagi, cichy. Mgły białe, cienie, nadają widokowi rozmaitość. Po spadzistościach i wąwozach ujrzysz ruchowy połysk kwitnącego kowylu. Stąd na zachód rozciągają się stepy— przedłużając się, aż spotkają niebo i z nim się zaokrąglą. Przerzyna je rzeczka Uskałyk i poważniejszy Jk..... Czy tam zdala Baszkir jedzie, czy żóraw lata, nie rozpoznasz aż po przywyknieniu. Przepiórka, łabędź przelotny, komar i bąk huczący przerywa cichość wieczorną. W samotnych moich przechadzkach płaczę, modlę się, częściej śpiewam, zawsze w rozrzewnieniu z wami i przeszłością obcuję, tęskno mi ale nie nudno. Chodzę z siekierką, już to aby w przypadku bronić się od Kirgiza, już aby w zaroślach czynić sobie łatwiejsze przechadzki. Część dnia gorętszą, jednostajniejszą i większą—przepędzam na uczeniu Piotrusia, na czytaniu i pisaniu dziełka o poznaniu siebie... Jeśli Bóg nie udzielił mnie zdolności i darów do czynienia rozleglejszych posług — kształcenie choć jednego człowieka godnie wchodzi do celu życia. Wstaję ze dniem i pracuję nad trzecią poprawą i przepisaniem tłomaczenia Masona o poznaniu siebie. Czym pilniej przedmiot jego rozważam, tym wyraźniej czuję dobroczynny jego wpływ na uspokojenie poburzonych myśli, na stateczność rysów, jakie charakter mój przyjmuje... Zdrów jestem dobrze. Góry lodowe, w zimie poprawiły moje zdrowie znacznie. Jazda sankami, ruch, upocenie się na mrozie, dziewczyna na kolanach prawie, pewną twardość do nerwów wniosły. Jest to zabawa, która łączy w sobie wszystkie korzyści tańców, przechadzki i delikatniejszego z kobietami obcowania. Czeczot okropnie mnie wyłajał za jej opisywanie; tym bardziej powstawał, im bardziej rozszerzała się fama zręczności mojej w kierowaniu saneczek".

Ogólny ten rys swojego życia i otoczenia dopełnia Zan niektóremi szczegółami w liście z Orenburga d. 6 Grudnia tegoż roku. „Czas mojego na wsi przebywania—powiada —miał trzy epoki: wiosną rąbałem lasek, latem zbierałem owady, jesienią polowałem, teraz toczę.... Oznajomiłem się tak z powietrzem i niebem, że odmiany pogody zawsze są dla mnie jednostajnie przyjemne, zawsze są unoszącym mię przedmiotem kontemplacyi, lub przyczyną do rozmaitości cwiczeń ciała. Piechotą-li, konno, na czółnie lub tarantasach, w lasach, na górach, w stepach, zawsze jestem przystający do szeregu tworów, zawsze z nimi w harmonii. Przez cząstkowe uwagi i usiłowania przyszedłem do tego, iż jadania mięsa na zawsze poprzestałem. Powoli oduczam się od wszelkiego oprócz wody napitku. Wiele pozbyłem się różnych więzów wychowania, zwyczajów. Mogę chcieć i niechcieć—wyraźnie i mocno, lubić i nielubić widocznie. Dlatego, mimo wielkich przemian w uczuciach jednych i tychżesamych, jakie mocno i głęboko poruszać mię mogą, nie jestem zdolny śpiewać rymem; więcej też podobam melodyje i harmoniją, niż wiersze najpiękniejsze. Najczęściej na wsi byłem samotny; może i ta osobność, która nie potrzebuje wylewania się, przyczyniła się do niemożności do wyrażania wnętrza swojego słowami... Był jakiś miesiąc, w którym zajmowałem się szczegolnie językiem i poetami naszemi... Poetów starałem się odróżnić przez właściwe charakterowi ich poezyi rysy. Życie wewnętrzne poety jest koncertem, którego jedne sola lub śpiewności cząstkowe, nie całkowite, często fałszywe dają wyobrażenie o duchu całej muzyki. Uporządkowanie poematów szczegółowych do przedstawienia całego poematu, którego bohaterem byłby sam autor, byłoby wielce ważne. Teoryją promionków — czyli polaryzacyją wszystkich pojętych dla człowieka kolorów, i harmoninjnym ich ułożeniem do całości—tłómaczę tu sobie wiele rzeczy. Między innemi miłość. Wszeteczności zawsze jestem groźnym prześladowcą; kupiłem kij żelazny z młotkiem, aby ją tu poskramiać. Miłość jest zorzą wieczności. Człowiek szczęśliwy jest ten który siły swoje zrównoważył i pogodził z przedmiotem natury, zgadł jej zamiary"...

Nieustanne zwracanie się Zana ku przyrodzie, którą umiłował, tym silniejsze na nas robi wrażenie, że czujemy całą potrzebę tej świeżej, zdrowej, ruchliwej atmosfery pracowitego wiejskiego życia — która sama jedna odkupićby mogła pokolenie nasze od fatalnych skutków zgrzyźliwéj sztucznej, miejskiej, narkotycznie zaprawionej atmosfery naszego wychowania. *(d. n.)*

SŁÓWKO
o przesądach w medycynie,
pojęcie ogólne organizmu—Choroba i zdrowie

przez Doktora
Gustawa Dolińskiego.

> Szlachetne zdrowie
> Nikt się nie dowie
> Jako smakujesz
> Aż się zepsujesz.
> *Jan Kochanowski.* (Fraszki).

Śpiewaku Czarnolaski, twoje pełne prawdy słowa umieszczam na wstępie pogadanki mojej. W dumaniach wieszczych pod rozłożystą lipą stworzyłeś myśl której dotąd nie zrozumiała społeczność. Bo zaiste niemasz nic droższego, nic więcej ważnego dla człowieka, jak to zdrowie, cenione tak lekko, ryzykowane tak nierozważnie.

Pytam jakaż nauka jest więcej przez ogół zapoznaną, która umiejętność w rozumieniu dylletantów niżej stoi od medycyny?

Medycyna... eh to głupstwo, to furda! ona się jeszcze w kolebce kołysze. Medycynie brakuje podstaw, to nauka pojedynczych faktów i obserwacyi, to błąkanina bez celu, sztuka zapisywania recept, kuchnia łacińska, gonitwa za rublami, oszukaństwo i blaga, umiejętność mydlenia oczu, jatki ludzkie! Wielcy i mali, światli i ciemni, otyli i chudzi, słowem wszyscy począwszy od owczarza i znachorki, od felczera i posługaczki szpitalnej, aż do uczonych i jaśnie wielmożnych, wszyscy powtarzam uważają za słuszne potępiać medyków i medycynę—i rozprawiać szeroko o tym, o czym nie mają najmniejszego wyobrażenia.

Polityka, medycyna, oraz sądy krytyczne o literaturze i sztuce, stanowią obszerne pole pogadanek i rozpraw... Dla czego nikt nie dowodzi o kodeksach, o matematyce, o technologii, owszem przyznaje się z całą skromnością, że to rzecz dla niego obca, czemuż nie wtrąca się do obserwacyj astronomicznych, do laboratoryjum chemicznych wyrobów? Z bardzo prostej przyczyny, bo się na tym niezna. Pytam skąd prawo i przywilej, sądzenia o nauce życiowych spraw organizmu, skąd owa kompetentność w zakresie życia i śmierci, choroby i zdrowia, skąd pobudka owego leczniczego zapału—i doświadczonych a wypróbowanych lekarstw uzdrawiających całe roty? Dalibóg nie wiem i wy Szanowni Czytelnicy pewnie także nie wiecie. Niech

---

czenia w d. 19 Lutego uroczystości 400-letniej rocznicy urodzin ziomka naszego Mikołaja Kopernika — święta, które wstrząsało umysłami całego świata — oprócz tylko Siedlec—żeby choć jeden głos odezwał się! Kiedy my odezwaliśmy się z projektem — wyśmiano nas. A mamy przecie ludzi co wiele mogą chociaż nic z goła nie chcą! Ci sami wielcy ludzie (!) nazywają nas półgłówkami, literatami ze znakiem zapytania i t. p. wyszydzają chętnie każdy objaw umysłowego ruchu i z właściwą tylko sobie obojętnością przyjmują każdą samodzielną działalność! Jak to boli—nieprawdaż?...

W d. 25 Lut. (9 Marca) Julijusz Dzięciołowski Kand. Pr. miał u nas odczyt: „O zbytku i oszczędności"—który opracował sumiennie—słuchaliśmy go z prawdziwą przyjemością, niektórzy ziewali. Po tym odczycie miało nastąpić 6 innych wypracowanych miejscowemi siłami, zaszły jednak przeszkody i wątpić należy czy dojdą do skutku w Kwietniu i w Maju jak było naszym życzyniem.

Stan higieniczny miasta polepszył się znacznie, ospa ustaje, chociaż gorączki tyfoidalne trzymają się dość uparcie.—Od paru dni mamy tu wiosnę zupełną, stąd ziemianie wróżą sobie pomyślne urodzaje. *Zyg... Zan....*

* * *

P. p. *Feliks Fryze* i *Ignacy Chodorowicz* wydają: „Przewodnika po Warszawie i jej okolicach."

* * *

Dr. *Mikołaj Bruner*, właściciel tutejszego zakładu leczenia elektrycznością, zbudował nowy przyrząd elektro-terapeutyczny, który chwalą znawcy, i który ma być wysłany na Wystawę Wiedeńską.

* * *

P. Dzięciołowski zapowiadając swój odczyt to w Sali Towarzystwa Dobroczynności, to w Resursie Obywatelskiej, przemówił nareszcie w tej ostatniej dnia 25 z. m. i powiedział kazanie na temat „ekonomicznego stanowiska kobiet." Radzilibyśmy szczerze tak p. D jak i innym młodym prelegentom, aby do swych przeznaczonych na produkcyją studyjów, wybierali ściślejsze monografije. Tylko ludzie bardzo bogaci w naukę i życiowe doświadczenie z pożytkiem zapanować mogą nad przedmiotem o obszernych ramach, tylko u nich—nawet ogólnik drga życiem, bo z niego wyrosł jako rezultat dobrze zużytych szczegółów. Mniej wytrawni publicyści biorąc ciężar nad siły, przypominają zawsze szkolne pensa, popadają w komunały, jak to miało miejsce i w odczycie o którym mowa. W komunałach tych nie było fałszu, ale nie było życia, za to znowu w szczegółach o ile do nich zabrał się prelegent było życie, ale niestety były i... fałsze. P. D. mówił między innemi o tutejszej *spółce połączonej pracy kobiet*, a to co o niej przytaczał brał widocznie z drugiej ręki. A przecież jako prawnik powinien był pamiętać o tej ważnej zasadzie proceduralnej, że świadectwo *ze słyszenia*, nie ma wartości dowodu. Zamiast na niejasnych źródłach opartej dorywczej kompilacyi trzeba było lepiej i sumienniej rozpatrzyć się w przedmiocie, a wtedy można go było traktować z pożytkiem, tym więcej, że p. D. zdaniem naszym ma dosyć zewnętrznych warunków do zabierania głosu publicznie.

* * *

Warunki zewnętrzne to jednak jeszcze nie wszystko, jak tego najlepiej dowiódł p. Wedeman, który przed parą tygodniami przemawiał w Sali Ratuszowej. P. W. ma wielki dar słowa, ma głos dźwięczny nadający się do wszelkiego rodzaju modulacyi, język, gdyby nie zepsucie go składnią francuzką nie pozostawiający prawie nic do życzenia, a jednak p. W. mimo, że nawet z łatwością mógł zapanować nad przedmiotem, nie osią-

no jednak kogo przypadkiem ząb zaboli, niech zakaszle, niech go w boku zakłuje, w tej chwili tysiąc doradców, a każden rozumniejszy.

Oto włożyłbyś pan dobrodziej w ucho paciorek bursztynowy, mojej matce to pomagało...

Co tam gadać bursztyn, elektryka zrobi zapalenie, krew się wzburzy—i jeszcze człowiek ogłuchnie... proszę poczekać ja powiem.. Ś. p. dziadek mój skoro tylko był cierpiącym na fluksyją, a byłto panie świeć nad jego duszą człek próbant różnych rzeczy, i z niejednego pieca chleb jadał, otóż.... co miałem mówić... jechał do miasteczka na kiermarz, i tedy panie, zesiadł na popas do arendarza.

Żyd zawsze żydem, zaraz przyniósł słodkiej wódki, oraz chleba i sera na zakąskę. Trzeba wiedzieć moi państwo, że ś. p. dziadek mój, był kontuzyjowany kartaczem w lewą żuchwę, i z tej pory cierpiał na fluks i zawianie nerwowe. Ukąsiwszy onego sera, nawieruszył ząb trzonowy w samej koronie. Ból Chryste Jezu, co to ząb... żywa kość, jakby rękę złamał albo nogę wybił w stawie. Na żyda tedy w pierwszej pasyi, a straszny był impetyk i na ból niecierpliwy. Żyd w prośby i powiada, mam ja sekret, co mi węgier wędrujący z olejkami odprzedał. Jeno tknąć jak ręką odjął. I uskrobał żydzisko cegły niedopalonej i pecyny z pod starego pieca, do tego na połowę drobno posiekanej cebuli, pomazał to gęsim smalcem, a raczej mój dziadek pomazał, bo był człek obrzydliwy i delikatny w żołądku—i położył na ząb. Co powiecie państwo, Boską ręką, od jednego momentu jak uciął. Dziadek siadł i pojechał, kupił pamiętam jeszcze wołu graniastego. Co to był za wół!...

Pozwól no panie Ignacy... niechże ja rzeknę słowo.

Ojciec mój nieboszczyk cierpiał na *wewnętrzne zapalenie*. Kurowali go kurowali Bóg wie nie czym, nic nie pomogło. Nareszcie ciotka moja przyjechawszy, cuda jęła wypowiadać o Matyjasku owczarku z pod Sandomierza. Jedź bracie do Matyska, on cię zbawi. Tam i książęta i hrabiowie zagraniczni jeżdżą na konsylja. Wiesz o tym, nie było błogosławieństwa w naszym domu, pojechałam, dał proszki i w rok urodził się Jędruś, potym Michaś, Basia i Pelusia. Jedź bracie jedź, nie pożałujesz tego.

Pamiętam jak dziś, założyli karą kobyłę z białonożkiem do dyszla, a myszaty bo był leniwszy, poszedł do drążka na rękę, płakaliśmy wszyscy na odjezdnym. I co proszę ojciec wrócił... i zgadnijcie państwo jakie lekarstwo.

Może runo z czarnej owcy na żołądek przypasywać?

Może pić rozchodnik z bylicą, wygotowane pod patyną?

Pewnie zajęczy skrom na smarowanie! i krwawnik do picia!

Ale ale... kasztany państwo moi, proste kasztany.

— Co też pan Bartłomiej gada... na co kasztany, do jedzenia?

Gdzie tam, gdzie tam, oto po prawej stronie tuż koło śledziony, kazał nosić kasztany w kieszonce od kamizelki. Jakby nożem ciął, wszystko zapalenie na wierzch wyciągnęło, i nieboszczyk ojciec byłby żył do tej pory, żeby nie ten rzeźnik (tu wymienione nazwisko lekarza). Zabił go.... dał jakiś proszek, natura się przeciwiła... Aj, aj te doktory!

Cierpiący na ząb z natężoną uwagą słucha uczonych wywodów kładzie pieprz i cukier, ocet i miód, ciepłą wodę i lód na przemiany. Nic nie pomaga, ząb boli, nareszcie przestał.

Więc i my przestajemy na przytoczonych anekdotkach z życia, pójdźmy w inną stronę.

Biedny Michasiu, takeś pomizerniał, jużeście wczoraj pochowali? Nacierpiało się też biedactwo.

A tak tak mój drogi. Ten infamis konował (tu się wymienia nazwisko lekarza) nie poznał się najwidoczniej i zamordował dziecko. Mówiliśmy czemu nie dać na wymioty.

Szkarlatyna pochodzi zawsze od żołądka.... Jak się uparł, że to na nic się nie przyda tak i zwojował. Jak mi Bóg miły, dzieciak by był żył, wszyscy tak mówią....

Ale nie ma kwestyi.—Bo po co wy się jego trzymacie? On zawsze taki *nieszczęśliwy*. Trza było wezwać X... (tu nazwisko felczera) on choć nie patentowany, ale więcej ma praktyki jak oni wszyscy. Stało się, żałuję tylko żem wyjeżdżał pod tę porę, byłbym cię przymusił do tego.

Ha mój drogi, trudna rada, nauczony smutnym doświadczeniem, dziesiątego przestrzegę. Bywaj zdrów, do widzenia......

Wstąpmy za bardzo przyzwoicie ubraną damą do apteki.

Proszę pana dobrodzieja, co też to za recepta czy to czasem nie kalomel. O bo ja za żadne pieniądze, za żadne świętości nie wzięłabym kalomelu. To trucizna.

Mnie się zdaje, że to recepta nie trafna, pani Ł.... która tak samo cierpiała jak ja, jakieś różowe przysłaliście państwo...

Ale niech pani dobrodziejka będzie spokojna. Lekarze często się mylą w ordynacyi specyfików oraz utensylii—ale my farmaceuci, zwracamy zawsze ich uwagę, albowiem kompetencyja nasza wyrokuje stanowczo w tym względzie.

Rzeczywiście kalomel, skoro zważymy ściśle, może stosunkowo powodować pewne nie powiem szkodliwości, jednak preparacyja stosowna, według prawideł sztuki sporządzona, zabezpiecza radykalnie i mogę honorem zapewnić...

O niepotrzeba! panu wierzę boś pan nie doktór....

Bądź pan łaskaw zapisać na rachunek, ja tu przyszlę służącą po lekarstwo... Żegnam pana dobrodzieja.....

Upadam do nóg... dziękuję bardzo... że mam honor.... miło mi jest.... Drzwi się zamknęły i prowizor pomyślał w duchu... Udało mi się!!

Czyż mam dalej zbierać obrazki, których pełno na każdym kroku? Czyż mam szydzić, i śmiać się, czy z politowaniem kiwać głową? Przez ciemną mgłę zacofania i przesądu, przez labirynt nielogiczności i uprzedzeń szedłbym życie całe, i co krok stawałyby przedemną coraz to nowe widziadła. Szedłbym ja dyplomowany truciciel—przemysłowiec bańki i skalpela, fybrykant fałszywych kuracyj, maszyna do zapisywania recept, starszy brat cyrulika, kieszeń głodna rubli pożądająca, trenowany wyścigowiec emulacyjnej praktyki, sługa wasz Szanowni Czytelnicy, niewolnik opinii i sądów waszych.

Pozwólcie, że nie w doktorskim birecie i todze, nie z katedry..... nie głęboką uczonością i wywodami, ale słowem logiki jasnej prostej i zrozumiałej przemówię do was. Nie chcę nauczać, chcę tylko w popularnym nastroju porozmawiać z wami, posłuchajcież cierpliwie. (*d. c. n.*)

---

gnął przecież tego o co najbardziej się starał to jest nie zrobił na słuchaczach wrażenia. Stało się to skutkiem sztucznego nadużycia materyjału, skutkiem umyślnego i naciąganego gonienia za efektami. W mowach mających obudzić uczucie, to koniec końcem tak jak w poezyi:

„Jest święty węzeł co silnie skojarza
Serca słuchaczów i serce pieśniarza."

Jeśli tego węzła nie ma, to nie potrafią go zastąpić i na nic się nie zdadzą sztuczne rakiety.

* * *

W „Harmonii" nie zawsze bywa harmonija. Dowodem tego p. Węsławowicz, która widocznie pójdzie wysoko w zawodzie artystycznym—idąc bowiem śladem wielkich naszych mistrzów (!) uważa za dostateczne samo położenie nazwiska na koncertowym afiszu. Mówimy tu o koncercie panny Leichnitz, jaki miał miejsce w zeszły czwartek w sali „Harmonija."

Spieszenie ku sławie tą lub ową drogą ożywia zapewne p. Angra który swą zaledwie z kołyski wyprowadzoną dziecinę, wystawia na koncertową estradę. Publiczność dowiaduje się z tego, że p. Anger, ma milutką i ładniutką córeczkę, która jakkolwiek wróży kiedyś utalentowaną skrzypcową exekutorkę, dziś pacholęcą swą dłonią niemiłosiernie kaleczy uszy rozradowanej tym wypadkiem publiczności. Prócz tych dwu talentów (t. j. słyszanego i niesłyszanego) publiczność raczyła się znanym naszym kwartetem (pp. Anger, Stiller, Liebrecht i Thalgrün) wykonywającym wreszcie bardzo dobrze zbiorowe utwory. Koncertantka sama pomimo widocznej niedyspozycyi głosu złożyła dowody niezaprzeczonego i oddawna znanego talentu. Szczególniej z wdziękiem i zrozumieniem zaśpiewała udatną i pełną prostoty piosenkę Noskowskiego „Nad kołyską."

* * *

Na ósmym odczycie dla rzemieślników w sali Resursy Obywatelskiéj—„*Eugenijusza Dziewulskiego*" było osób 800.

W przyszłą niedzielę dziewiątą z kolei prelekcyją wypowie także p. Dziewulski i w dalszym ciągu mówić będzie „*o fizycznych własnościach powietrza*."

Bilety po kop. 5 są do nabycia w Redakcyi Opiekuna Domowego i Gazety Przemysłowo-Rzemieślniczéj, (Chłodna, Nr. 10).

Nadmieniamy — że Członek komitetu Redakcyjnego Opiekuna Dr. Gustaw Doliński nie ósmą, jak ogłosiliśmy w Nr. 13—ale jedenastą z kolei mieć będzie prelekcyją „*Skąd się biorą choroby i jak się od nich chronić*."

* * *

Kiedy już mowa o prelekcyjach — winniśmy czytelników naszych powiadomić, że p. *Bogumił Aspis* — zapowiedziane na d. 15 (27) Marca przeczytanie w sali Resursy Obywatelskiéj, swojéj tragedyi lirycznéj p. t. „*Sulamita*" odłożył na dzień 22 Marca (3 Kwietnia r. b. tj. na nadchodzący czwartek na godzinę 8-mą wieczorem. Bilety po kop. 30 a dla studentów uniwersytetu i młodzieży szkolnéj po 15 kop., mogą być między innemi i w Redakcyi naszéj nabywane.

* * *

Z powodu zupełnego wyczerpania kompletów z IV-go kwartału roku zeszłego przyrzekliśmy byli dostarczyć *bezpłatnie* wszystkim czytelnikom naszym początek powieści „Hrabina Elodyja." Ponawiając to zapewnienie, donosimy że dodatek o jakim mowa dołączymy w bieżącym zaraz miesiącu.

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

III
Waleryja Marrené
(MORZKOWSKA).

Jest to faktem spełnionym, faktem niezmiernie wybitnym, że powieść w ostatnich dziesiątkach lat, podgarnęła pod swą władzę najsilniejsze umysły, owładła masami, zmusiła je do czytania a co za tym idzie stała się jednym z potężnych czynników cywilizacyjnych. Że naturalnie takie jej pyszne i dumne stanowisko, taka do pewnego stopnia uzurpacyja, nie obeszła się bez uszkodzenia niektórych najdroższych nawet interesów społecznych, o tym zdaje się nikt dzisiaj wątpić nie może. Szkoda ta mianowicie dotycze się owego lenistwa umysłowego jakie znachodzimy u ludzi czytających tylko powieści, którzy zasmakowawszy w lekkiej tej a częstokroć niezdrowej strawie, nie probują już nawet posilniejszych pokarmów, na czym naturalnie tracą bardzo wiele. Z tym wszystkim gdyby nam przyszło położyć na szalę wszystkie korzyści i wszystkie szkody, których przyczyną stała się powieść, kto wie czy pierwsze nie przeważyłyby drugich.

Dla tego też należy być niezmiernie ostrożnym w sądzie o powieści jako jednym z objawów umysłowej działalności ludzkiej—co więcej dla niej należy całkiem inny punkt widzenia zająć i według innych praw o niej sądzić. Wszelkie teoryje estetyczne, któremi usiłowano skrępować szczytowy lot powieści, nadać hamulec jej wybujałemu rozrostowi, w obec tej dumnej i „nagością żelazną bezczelnej" pani, schodzą do zera.

Mówimy to, myśląc o owej słynnej a próżnej teoryi estetycznej, według której sztuka ma cel sama w sobie—a zatym utwory artyzmu pisane według jakichś celów, dla myśli jakiejś przewodniej, słowem tendencyjne, są podobne do owych istot drobnych, którym natura kilka godzin życia zaledwie pozwoliła. Zdania takie, jakkolwiek może ono być bardzo a bardzo pięknym, przecież w obec groźnych a wielkich zadań życia realnego nie mają najmniejszego nawet znaczenia. Życie to nie zabawa, to nie mrzonka abstrakcyjna, ale walka olbrzymia, nieubłagana, nieskończona i krwawa częstokroć... Stąd też powieść, która bądź co bądź niczym innym nie jest jak wiernym odbiciem, kopią dosłowną życia ludzkiego, nie może i nie powinna ścigać owych tęczowych widziadeł estetycznych teoryjek, ale iść z myślą na barkach i jak Krzysztoforus legendowy—świat nowy dźwigać na swych plecach. W obec takich zadań wspaniałych, cóż ją to może obchodzić, że godziny jej żywota są policzone? że jutro umrze zapomniana spełniwszy swe cele, żyjąc dla jednej chwili! Zaprawdę, że nic...

Ale tego rodzaju śmierci powieść lękać się może, byle tylko myśl swoję potrafiła ubrać w klasyczne ciało sztuki, byle odpowiadała wszystkim warunkom artyzmu. Czyż Cervantes pisząc Don-Kichota pisał dla wieków, czy dla jednej chwili? Dziś już nie ma błędnej szwaleryi, nie ma w żelazo okutych rycerzy, szukających awantur po świecie, a przecież Don Kichot jest dziełem które wieki żyje i żyć będzie.

Przyczyna tego leży w sztuce, która tę chwilową myśl przewodnią Cerwantesa, okryła purpurowym płaszczem swoim i zamienioną w marmur o Fidyjaszowych zarysach potomności przekazała — nakoniec w wiernym odtworzeniu wszystkich wad i cnót ludzkich, namiętności i głupstw, w onym realizmie, który jest kardynalną podstawą dzieł sztuki.

Te kilka słów zdały nam się być koniecznemi wprzód nim przystąpimy do oceny stanowiska jednej z naszych najzdolniejszych i najpłodniejszych zarazem autorek. Wyraźnie one oznaczają punkt z którego przyjdzie nam sądzić jej prace, działalność i zasługi. Pani Marrené należy do młodej generacyi piszących, nie tak jednak młodej, żeby miała się pozbyć całkiem niektórych wad i naleciałości, które nie jako w krew jej już przeszły — należy dalej do rzędu tych śmiałych umysłów które sięgają nieraz bardzo daleko, szamocząc się w obec więzów społecznych, odważnie wypowiadają wady i usterki, pragną lekarstwa choć same go znaleść nie mogą. Jest to wreszcie o tyle silna inteligencyja, o tyle zdrowa, że nie hołduje pustym zdaniom o sztuce dla sztuki, ale w każdym swym dziele usiłuje przeprowadzić jakąś myśl, wydobyć na jaw jakąś wadę w organizacyi społecznej — pragnąc zarazem gorąco jej poprawy.

Nakoniec jest to zdolność duża, wybitna, umysł głęboko analityczny i filozoficzny niekiedy. Już pierwsze jej prace, jakkolwiek słabe, chorujące na wadę fatalną a której dotąd p. Marrené się nie pozbyła, na brak znajomości życia, na brak realnych charakterów —już pierwsze jej prace powtarzam, znamionowały umysł sięgający zuchwale jak mityczny Prometeusz, po rozwiązanie najważniejszych zagadnień życiowych. I przez dziwną, lubo skądinąd łatwą do wytłomaczenia sprzeczność—podczas gdy autorka mając do czynienia z wcieleniem swych mysli, z bohaterami powieści, jak najniefortunniej wychodzi w kreśleniu ich fotografii—to za to myśl ogólna książki, idea przewodnia rozwija się przed nami zawsze tak wspaniale, tak logicznie i zgodnie z warunkami realnego życia, że nic do życzenia nic pozostawia. Weźmy np. jedną z najpierwszych powieści p. Marrené, p. t. *Nowy Gladyjator* (Warszawa 1857 r.) —a rzecz ta jasno nam się zarysuje. Bohater tej powieści, Wacław artysta, ściga, goni, szuka, pragnie ideałów i w końcu pod żelazną dłonią rzeczywistości ulega. Myśl więc jest wysoce prawdziwa, zdrowa, jak dla nas głęboko pouczająca. P. Marrené przeprowadziła ją logicznie przez ciąg powieści, przekonała w końcu czytelnika że pogoń za ideałami, które są próżną bańką mydlaną, jest wierutnym głupstwem, nie wartym i torby sieczki nawet—mianowicie wówczas gdy pyszny a groźny dramat rzeczywistego życia wymaga od nas trzeźwości umysłu, wszystkich naszych sił i zdrowia tak fizycznego jak intelektualnego. Dotąd więc bardzo dobrze. Ale powieść nie jest traktatem filozoficznym—jest to fotografia życia, wymaga więc by w jej kartach kręcili się, mówili, płakali, śmiali ludzie, żywi ludzie o krwi i kościach—a to pod karą upadku onych myśli i idei których heroldem i rzecznikiem stała się dana powieść. W Gladyjatorze atoli tego wszystkiego nie ma—nie ma ludzi. Są to jakieś maryjonetki, cienie blade, kręcące się, szamoczące, stosownie do tego, jak im tańcwać każe logiczny rozwój przewodniej mysli. Owóż w tym leży kardynalny błąd p. Marrené! Ten Wacław, Marcelli i t. d. cały ten tłum artystów i bohaterów wszystkich powieści naszej autorki, to maleńkie Donkichoty, którym nic nie brakuje, by ich do domu obłąkanych odesłać. Ani jednego rysu rzeczywistego. Żadnej sceny, któraby miała prawdę w sobie, któraby mówiła, że to są ludzie a nie widma—oprócz może jednej, jedynej między skaczącą i pyszną jak bachantka Rozaritą—a Kamillem. Z takiego braku realnych podstaw powstaje niesmak i nuda—sam bohater postać ckliwa, Bóg wie czego chcąca nastrojona do patosu, górnolotnie mówiąca, miała być wysoce tragiczną a stała się śmieszną.

Owóż ten brak znajomości życia, a co zatym idzie nieudolność w kreśleniu charakterów, przynosi wielką szkodę pracom pani Marrené. Co większa jest to Achillesowa pięta tej zdolnej skądinąd autorki. Jaką ją widzimy w Nowym Gladyjatorze, w jednej z najpierwszych jej powieści, taką samą się okazuje w *Róży* ostatniej swej pracy. Pani Marrené więc nic się nie nauczyła i nic nie postąpiła. Wszędzie ta sama wada, tak w *Życiu za życie* jak *w Remesie, Mąż Leonory, Bożek Milijon, Postąpiłem prawnie* i t. d. wszędzie brak ludzi!... Umysł to więc umiejący myśleć—i myśleć głęboko a logicznie, ale nie umiejący w artystyczne a rzeczywiste ciała oblekać swych myśli. Na tym naturalnie nie tylko traci sama powieść jako dzieło sztuki ale i myśl przewodnia, która miała być drabiną Jakubową, wiodącą ludzkość pod gwiazdy! a w skutek wadliwego przeprowadzenia stała się prawie niczym.

Wszystkie te zalety i wady wyraziście występują w najlepszej pracy pani Marrené, drukowanej przed kilku laty w Gazecie Warszawskiej, p. t. *Mąż Leonory*. Jest to powiadamy najlepsza praca pani Marrené, niejako punkt kulminacyjny rozwoju jej talentu, ognisko jej myśli które bądź co bądź zawsze się obracają koło kwestyi małżeńskiej. W powieści tej autorka przeprowadza kwestyją rozwodu, jako konieczny, niezbędny warunek pewnych położeń w życiu dwojga ludzi, związanych przez prawo i kościół żelaznym łańcuchem, którego nic i nikt rozerwać nie może. Naturalnie, w obec takiego prawa ciążącego na ustroju społecznym, wywołującego częstokroć okropnej doniosłości dramaty, każden umysł głębiej myślący musi uczuć tajemny dreszcz zgrozy. P. Marrené ze zwykłą śmiałością podnosi tę kwestyją, przeprowadza ją z nieubłaganą konsekwencyją przez całą powieść i kończy, jak koniecznie skończyć się musiało,—tragicznie. Ale cóż z tego, kiedy w samej powieści natrafiamy jak zwykle nie na ludzi ale na cienie, wprawdzie odpowiadające założeniu powieściowemu, ale nie odpowiadające niezbędnym warunkom prawdy rzeczywistej. Ani Kazimierz, ani Leonora dwie główne postacie nie mają w sobie nic a nic rzeczywistego. I to znowu główna a zwykła wada pani Marrené.

Ale natrafiamy tutaj na jeden dziwny szczegół i niewytłomaczony z pozoru, choć przy bliższym poznaniu staje się on dla nas jasnym, bo jest logicznym wynikiem talentu p. Marrené. Drugorzędne postacie jak Onufry, Anielka, Władysław, podobnie jak w Gladyjatorze Kamillo i Rozaritta, są pod pewnym względem wybornie zarysowane, mają w sobie dużo realnej prawdy. Czemu to przypisać? Oto temu, że pani Marrené nie wciela w nie myśli swej przewodniej, są one tylko akcessoryjami niezbędnemi, które są takiemi a mogły być innemi bo nie wiele na nich zależy — nie ulegając więc naciskowi tendencyi, do której wydobywać musi z głębi swego umysłu odpowiednie formy, nie dbając o nie, że się tak wyrazimy, szuka dla nich wzorów w otaczającym ją świecie i znajdując je gotowemi fotografuje wiernie. Stąd mają one w sobie więcej życia i prawdy, niż główne kreacyje powieści.

A szkoda wielka — bo gdyby autorka poszukała takich wzorów dla głównych bohaterów znalazłaby je bez zaprzeczenia w około siebie, i na tym nie tylkoby jej talent zyskał, nie tylko sama powieść ale i myśl przewodnia za którą do walki wystąpiła.

Powiedzieliśmy wyżej, że osią koło której obraca się działalność powieściowa p. Marrené jest kwestyja małżeńska (Mąż Leonory, Nemezis, Życie za życie, Róża) — i pod tym względem, autorka nasza ma wiele podobieństwa do słynnej francuskiej powieściopisarki p. Sand. Pani Marrené musiała doskonale

wystudyjować Sand'a, bo nie tylko zbliża się do niej pod względem idei przewodniej, ale i pod względem stylu, paradoksalności, śmiałości poglądów i głębokiej logiki w myśleniu — ale niestety niższą jest co do rysowania charakterów, w których—olbrzymi talent Francuski, o całe niebo przewyższa naszę powieściopisarkę.

Z tym wszystkim przyznać należy że pani Marrené ma talent i talent niepospolity — ale talent ten nie oparty jest na rzeczywistych studyjach ale na książkach które czytała. Stąd ów brak prawdy, o którym wyżej mówiliśmy, pewna jednostajność prawie typowa w bohaterach jej powieści. Gdyby autorka nasza więcej patrzała na życie, które wre i kipi koło niej, to nietylko wzmocniła by zdolność swoję i siły swoje, ale przy danych jakie posiada mogłaby zaszczytne zająć stanowisko w polskiej literaturze.

Język autorka nasza ma kwiecisty, styl wytworny i płynny, choć nie bez błędów i usterek pod względem językowym. Co do artystycznej strony powieści, to te niekiedy szwankują na brak akcyi żywej, na brak koniecznego zaokrąglenia. Są to wreszcie wady mniejsze — niknące w obec większych zalet i wad jakie wyżej wspomnieliśmy—a których życzymy żeby się jak najprędzej pani Marrené pozbyła. *Walery Przyborowski.*

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, ARTYSTYCZNA I NAUKOWA.

III.

W dziwnych doprawdy żyjemy czasach. Ludzie gorączkową jakąś potrzebą gnani, szukają szczęścia, zajęcia, oszołomienia, wreszcie rwącego ich dusze sępa Prometejowego—szukają więc tego szczęścia i spokoju na ziemi i pod ziemią. Niekiedy wypadek dowcipnie im dopomaga w tych poszukiwaniach. Oto pod Gdańskiem znaleziono, pod pewnym względem arcy ciekawe rzeczy. Chcąc rozszerzyć port tamtejszy, poczęto kopać i natrafiono na szkielet starego okrętu, oddalony od dzisiejszego brzegu na tysiąc blisko stóp a zagłębiony na stóp blisko piętnaście. Z tych danych, orzaz z przejrzenia najstarszych map miasta Gdańska, nabyto przekonania, że szkielet okrętu o jakim mowa, już około lat sześciuset spoczywa w łonie ziemi która wówczas dno morskie stanowiła.

Z drugiej atoli strony niektóre przedmioty znalezione w okręcie każą wnioskować o dawniejszym jeszcze pochodzeniu onego dębowego trupa, bo zbudowany on z dębowego drzewa, które w ziemi i w wiekach nabyło przepysznej barwy jak węgiel czarnej. Rzeczy owe, zwróciły uwagę archeologów na siebie i z tego powodu okręt tajemniczy stał się przedmiotem naukowego badania. Na pierwszym miejscu stawią prześlicznie podobno rzeźbioną lampę z brązu, służącą jakby za pewien rodzaj kompasu. Ma ona kształt spłaszczonej kuli na cylindrowej podstawie. Następnie znaleziono żelazną kulę półtora cala w przecięciu mającą, kieliszek szklany jasnozielony, zdobny w wieńce na szkle rżnięte. Nakoniec na samym dnie okrętu dwa poczerniałe ludzkie kościotrupy na pół rozsypane, choć z niektórych kości pozwalające wnioskować o niepospolitym pod względem fizycznym rozwinięciu ich kiedyś właścicieli.

Oto i wszystko. Ponad okrętem, który tyle wieków spokojny i cichy spoczywał sobie w ziemi, wieluż to ludzi, wiele kolosalnych przewinęło się wypadków!...

Drugie słynne wykopaliska, które wiele robią wrzawy w świecie naukowym, to wykopaliska starożytnej Troi, miejsca walk Greków z Trojanami, sceny olbrzymiej Homerowskiej epopei. Pracom tym przewodniczy archeolog niemiecki Schlieman. Rozpoczął on je jeszcze w r. 1871 i dziś doprowadził do znacznych rozmiarów, tak że odkrycie miejsca starożytnego Iluim teraz już najmniejszej nie podlega wątpliwości. Trudy podjęte stokrotnie się mu wynagrodziły—znaleziono mnóstwo rzeźb z marmuru, kamienia, metalu i gliny palonej. Do późniejszych już czasów, do czasów nowego Iluim odnoszą płaskorzeźbę przedstawiającą Apollina w kobiecych sukniach, na wozie w cztery zaprzężonym konie. Do starszych zaś zaliczają wazony z czarnej gliny, przypominające słynne etruski, z postacią niewiasty o sowiej głowie.

Ale najważniejszą zdobyczą jest odkrycie śladów pierwotnej świątyni Minerwy, oraz niezmiernie starożytnych murów otaczających niegdyś Troję. Świat też z niecierpliwością oczekuje książki jaką ma niezadługo wydać pan Henryk Schlieman o swych odkryciach, a o której jak tylko wyjdzie nie omieszkamy zaraz uwiadomić naszych czytelników—tymczasem z krainy martwych wieków śniących pod ziemią, przejdźmy do śmierci nowej, idącej ciągle naprzód „jak żołnierz szturmujący w połamane mury".

Anglija w ostatnich czasach dwie ciężkie poniosła straty. Na dniu 29 listopada r. z. zmarła w Neapolu słynna w świecie naukowym Mary Somerville, a 18 stycznia r. b. zmarł głośny powieściopisarz Edward Bulwer, trzeci z rzędu, jakiego literatura angielska straciła w niespełna parę lat. Pierwsza, kobieta niezmiernie bystrego umysłu, dała się poznać przez ściśle naukowe dzieła, jak *Philosophical Transaction* gdzie mówi o sile magnetycznej słonecznych promieni, ale najgłośniejszym jej dziełem było *Physical Geography*, które imię jej uczyniło znanym nawet w najdalszych kołach. Za pracę tę dostała medal „Wiktoryi". Należała ona prawie do wszystkich ciał naukowych angielskich a za ministerstwa Peele dostawała od rządu roczną pensyją w ilości 600 funtów szterlingów. Umarła zmęczona pracą i życiem.

Drugi nieboszczyk Sir Edward Lytton Bulwer rozpoczął swój zawód literacki od poezyi, w których naśladując Bajrona, ozięble został przez czytającą publiczność przyjęty. Później dopiero ten duch rozrósł się, rozmnożył i wystąpił odrazu z taką świetną powieścią jak *Pelham*. Bulwer był przeważnie satyrykiem surowym, pełnym werwy i ukrytego bólu. Powieści jego późniejsze jak Eugenijusz, Aram, Ostatnie dni Pompei, Noc i Poranek, Alicyja, Ostatni z Baronów i t. d., rozgłosiły jego imię po wszystkich zakątkach ucywilizowanego świata. Umarł syt sławy— choć pod względem politycznym z powodu chwiejności zasad, małe miał znaczenie w ojczyznie swojej.

W domowym pożyciu nieszczęśliwy, oczerniony przez żonę, która także pisywała powieści i posępnemi barwy malowała małżonka, musiał skończyć na rozwodzie. Zmarły był jedną z tych właśnie trzech gwiazd, coto nosiły miano Dickens, Thackeray i Bulwer, wszystkie dziś zgasły na mglistym niebie—Albionu, świetne tylko smugi światła zostawiając po sobie.

Śmierć genijalnego tego męża niech nam będzie smętną przewodnicą na polu angielskiej literatury, która brzmi teraz sławą nowej powieści słynnej autorki *Chaty wuja Toma* zatytułowanej *Moja żona i ja.* (My wife and J.). Jest to jedna z tych prześlicznych a poetycznych sielanek, które przeczytawszy, zdaje ci się, jakbyś twój umysł skąpał w kastalskich wód krysztale. Autorka z właściwym sobie talentem opowiada dzieje miłości i zaślubienia się dwojga młodych ludzi, ich prace i znoje późniejsze. Temat stary, zużyty i pospolity, a przecież pani Stowe opowiada te drobnostki codziennego żywota, z takim wdziękiem, świeżością i wonią jakąś roskoszną, że czytasz tę książkę jak poemat jaki. Zalecamy ją tłómaczom naszym, bo praca to będzie i wdzięczna i miła nad wyraz...

W. P.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Em. Balk... w Lidze. Wydawnictwa Jeskego (książek 5) posyłamy $^{8}/_{20}$ marca powtórnie.

Pani Kreutz w Miradówce. Dziękujemy Pani za uznanie i życzliwe uwagi z których postaramy się skorzystać. Jako matce i nauczycielce znającej wady dzisiejszego, zwłaszcza domowego systemu wychowania, łatwo Pani przyjdzie wskazywać praktyczne środki—na usunięcie złego — prosimy więc przedewszystkim o artykuły podobnej treści.

Panu Janowi Moraws.... Rzecz co do pisowni podnieśliśmy w przeszłym N-rze Opiekuna.

Pani T. z m. K. Artykuł Pani podnosi myśl bardzo zacną, ale wielokrotnie jak w piśmie naszym obszerniej traktowaną i z tej przyczyny drukowanym być nie może.

Panu Hugonowi Rus... w Żytomierzu. Pseudonim, bez zezwolenia nie możemy zadosyć uczynić żądaniu Pana—ale porozumiemy się z autorką i zawiadomimy Pana o tym.

Panu P. Z. Nie możemy panu żadnych szczegółów udzielić w żądanéj kwestyi— najlepiej pan zrobisz odwołując się wprost listownie do uniwersytetu Pragskiego a on panu zapewne przyśle żądany program.

Panu Janowi Piot... w Czernihowie. List za komunikowaliśmy Panu Glücksberg — który przyrzekł załatwić żądanie.

Panu A. Dąb.... w Odessie. Rs. 9 kop. 20 odebraliśmy. Szpieg Pruski dawno odesłany. Reszta pieniędzy zaliczona na cel wiadomy.

Pani Natalii K. w Bardziejowicach. Albumu dotąd nie otrzymaliśmy jeszcze—jak tylko nadejdzie prześlemy go pani niezwłocznie.

Panu Fort. Radziej. w Tambowie. Jesteśmy zupełnie przeciwnego zdania i takie przeglądy krytyczne uważamy za bardzo korzystne.

Panu Wład. Tomaszews. w Dziśnie. „Szpieg Pruski" kop. 50.

Panu A. Grodzickiemu w Wodzianach. List zakomunikowaliśmy Panu Kaufman, który na Królestwo jest głównym agentem bióra o którym pan wspomina.

Panu Izydorowi Zubk... w Siewsku. Robinson odesłany w Grudniu—potym w Styczniu, obecnie posyłamy *po raz trzeci*—5 rs. wręczono.

Od Redakcyi.

Z powodu ukończonego już kwartału I-go, upraszamy łaskawych Czytelników naszych—aby dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów—raczyli pospieszyć z opłatą prenumeraty za kwartał II-gi.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca HENRYK PERZYŃSKI.